

Od autora: Zapraszam na przebycie wraz z czarnym kotem drogi mającej na celu odnalezienie domu...

Zastanawialiście się, dlaczego wszystkie koty chodzą własnymi drogami? Ja bardzo często. I chociaż sam jestem kotem to kompletnie nie rozumiem tej idei.

Ale zacznę od początku... Urodziłem się na wysypisku. Gdzieś między odpadkami ze stołu, a zużytymi starymi szmatami. To było jedno z tych dzikich wysypisk, które wbrew ostrym zakazom prawnym występują w lasach na peryferiach wielu osad.

Oj, nie było tam pachnąco, choć mój nos zdawał się pogodzić z owym faktem i całkowicie ignorował wszelkie niedostatki. Ale było ciepło. Zwłaszcza zimą, kiedy można zakopać się po koniuszki uszu w spranych, wełnianych swetrach...

Pytacie mnie o rodzinę... No muszę przyznać, że była imponująca. Matka urodziła wraz ze mną siedem kociąt. Ja byłem gdzieś w środku między grubym Żarłokiem, a żylastą Abi. Chociaż nie pamiętam za wiele z wczesnego dzieciństwa, to niewątpliwie było to bardzo niekomfortowe położenie. Żarłok rozpychał się niemiłosiernie, nawet później. Był niczym bluszcz— każdy wolny kąt natychmiast sobie przywłaszczał, dlatego, leżąc obok niego miałem zaledwie kawałek przestrzeni, z której i tak mnie wyganiał. Do tego, wprost na Abi. Ona zaś, niezdrowo chuda, wręcz raniła ciało wyeksponowanymi kośćmi. Nigdy nie lubiłem grubasów, ale wydaje mi się, że chudzielców nie lubię równie mocno. Ta, patrząc na nią mógłbym się uczyć anatomii kota...

Nie pamiętam imion reszty rodzeństwa, tak jak i oni nie pamiętają mojego. Łażą gdzieś bez celu, ucząc się łapać myszy. Matka raz tylko pokazała nam jak to się robi, a potem gdzieś przepadła. Ojca nie poznałem wcale. Ot, i taka szczęśliwa rodzinka.

Tak czy inaczej, nie brakowało mi nikogo do szczęścia. My, koty jesteśmy bardzo aspołeczne. Ale czasem myślałem sobie, że chciałbym zjeść coś lepszego niż gnijącą skórę banana. Żarłok namawiał mnie do ganiań myszy (sam był przyćmieszki, żeby jakąś dopaść, dlatego zawsze przysiadł się do czyjejś kolacji), ale mnie od początku nieco przerażały te stworzenia. Tak, jestem kotem który boi się myszy. A może tylko się ich brzydzi. Faktem jest, że prędzej umarłbym na zanik żołądka, niż zjadł którąkolwiek.

Oto nasz mały grajdołek... Wieczne przepychanki i szarpanina o najmniejszy, w miarę zjadliwy kęs. O kawałek ciepłego kożucha... Prawdziwa sielanka.

Do czasu.

Nie miałem nawet roku, a na nasze wysypisko najechały służby porządkowe. To było moje pierwsze spotkanie z ludźmi. Wcześniej widziałem ich tylko z daleka, kiedy przychodzili na grzybobranie. Dowiedziałem się od innych, że grzyby służą im za pokarm, więc sam postanowiłem spróbować. Wierście mi, większego paskudztwa w życiu nie jadłem (no może poza myszami).

Tak czy inaczej, przyjechały spycharki i sprzątnęły nasze dobre, dzikie wysypisko. Rodzina się rozpierzchła, a ja zostałem sam, zastanawiając się, co teraz ze mną będzie. I kiedy tak patrzyłem bezradnie jak rujną mi dom, dostrzegłem nagle uchylane drzwi jednego z samochodów.

Jak przystało na grzecznego kociaka, wślizgnąłem się cichaczem na tylne siedzenie. Nawet nie zdołałem się porządnie usadowić, a zamknęły się drzwi i pojazd ruszył. Nie wiem ile jechałem. Może kilka godzin, a może minut. Nigdy nie zastanawiałem się nad upływem czasu. Na wysypisku czas nie istniał. Faktem jest, że każda minuta spędzona w napięciu i niepewności ciągnie się jak doba...

Kiedy tylko uchyliły się drzwi wyskoczyłem równie niepostrzeżenie. Rozejrzałem się i zdębiałem. To było zupełnie inne, ekstremalnie inne od wszystkiego, czego doświadczałem dotychczas. Tak chyba wygląda ludzka osada— myślałem intensywnie. Czyste ulice, wzdłuż których ustawione były domki, otoczone ładnymi ogródkami, sprawiły, że po raz pierwszy poczułem coś poza strachem.

A gdyby tak, niczym król zamieszkać w jednym z takich ładnych domków... Mieć rodzinę, która się o

ciebie zatroszczy, da jeść, zapewni ciepły kąt, podrapie za uszami... Zresztą sprawiedliwość powinna istnieć... Skoro ludzie odebrali mi stary dom, to chyba powinienem dostać nowy... Tak, to całkiem niegłupi pomysł.

Z takim nastawieniem wyruszyłem na poszukiwania. Jak szybko się okazało, optymistyczne założenia nie były wcale proste do zrealizowania.

Kiedy wszedłem na pierwsze podwórko, zobaczyłem kobietę wieszającą pranie, a przy jej nogach kręciły się dwa wielkie i grube, owłosione koty. Może nie sprawiały wrażenia najprzyjemniejszych, ale zawsze swojaki...

Pomiauując głośno, dałem o sobie znać.

– A to co za przybłęda?! – warknęła kobieta, a jej dwa koty zaczęły syczeć i prychać, jakby na potwierdzenie słów gospodyni. – Wynocha stąd, zapchlony brudasie! – dodała po czym złapała miotłę. Nie czekałem, aż mnie nią uderzy. Podwinąłem ogon i zwałem.

Biegłem, oglądając się za siebie od czasu do czasu, aby sprawdzić czy nie goni mnie ta baba. I nagle uderzyłem w coś łbem.

Aż mi świece w oczach stanęły.

– A co my tu mamy? – usłyszałem zachrypnięty głos. – Ale zestresowane zwierzątko...

Podniosłem oczy. Przede mną stała starsza kobieta i wpatrywała się przez okulary, które dramatycznie powiększały jej oczy. Na początku realnie przeraziłem się, ale kiedy schyliła się i podrapała mnie za uszami, zmiękłem i zamiauczałem.

– Jaki przyjemny, kotek... Ale ty jesteś wychudzony! Babcia zaraz cię nakarmi. No chodź, malutki. Chodź ze mną.

I tym sposobem, owego wieczoru spałem przy kominku, jadłem słoninę i piłem mleko. Babcia była miła, chociaż przeżyłem z nią kilka nieprzyjemnych chwil. Najgorszą traumą było odpchlenia i odkleszczanie. Nie rozumiałem dlaczego pozbawia mnie starych, dobrych lokatorów... To prawda, często mi przeszkadzały, ale nie na tyle, bym miał się dobrowolnie poddawać torturom w celu ich usunięcia. Jednak wszystko w życiu wymaga poświęceń... Przeszedłem to z godnością, zaakceptowałem kąpiele i jakieś dziwne substancje, które staruszka wpychała do kawałków mojej kielbasy, przetrwałem długie godziny szczotkowania futra, kiedy snuła niemające końca historie o swoich wnukach.

Byłem u niej miesiąc, w ciągu którego nie zobaczyłem ani jednego wnuka. Ciągłe tylko słyszałem jacy są pracownicy i wszechstronni... Idealni.

Pewnego dnia wyciągnąłem się na swoim fotelu, jak miałem to zwyczaj robić co rano i poczłapałem zjeść śniadanie. Ale miseczka była pusta, co mnie trochę zdziwiło, bo babcia zwykle wstawała wcześniej i napełniała ją czymś smakowitym. Niezadowolony poszedłem jej przypomnieć o swojej obecności...

Następne, co pamiętam z tego dnia, to, że miauczałem tak natrętnie, że w końcu ktoś się zdenerwował i sprawdził co się stało... Kolejne godziny minęły bardzo szybko: przyjechało pogotowie, zbiegli się sąsiedzi i pojawiły się ukochane wnuki.

Babci umarła, a ja poczułem, że mój azyl ponownie zniszczono.

Większość rzeczy po staruszce została spalona albo oddana na cele dobroczynne, kilka zdjęć wrzucono do papierowego pudła, a kilka na śmietnik. Pewnie bym wylądował tam razem z nimi, gdyby nie zainteresowała się mną młodsza córka nowego właściciela mieszkania i ukochanego wnuka „mojej staruszki”. A więc nie trafiłem na śmietnik, ale do pudła z rupieciami, które mężczyzna zabrał do samochodu. Wciąż byłem wstrząśnięty śmiercią mojej opiekunki, ale nie pozostało mi nic innego, jak mieć nadzieję, że nowy dom będzie chociaż trochę tak ciepły, jak ten.

Oj, jak bardzo się przeliczyłem. Pan domu okazał się być majętnym człowiekiem. Nigdy wcześniej, ani nigdy później nie widziałem takiej willi i takiego ogrodu. Tutaj nie znaleźlibyście jednego dziko rosnącego kwiatka, a każdy krzak był idealnie przycięty.

Idealna też była rodzina. Piękna żona i dwie córki o nienagannych manierach. Nic dziwnego, że „moja

staruszka” tu nie przyjeżdżała... Ze swoimi trzęsącymi się rękami, z których wiecznie coś jej wypadło i ze swoją sklerozą pasowała do tego apartamentu jak wół do karety.

Ona jak ona... Ale czy ja pasowałem? Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałem pasować. Pragnąłem być idealnym kotem, który nie wchodzi w drogę nieproszony i jest zawsze pod ręką, kiedy domownik pragnie się przytulić do czegoś miękkiego. Jednak życie boleśnie zweryfikowało moje nadzieje...

Wierzcie mi, to takie trudne poruszać się po sterylnie czystym domu. Jakbyś był żołnierzem przedzierającym się przez pole minowe. Nerwy napięte do granic możliwości, w oczekiwaniu na piskliwy krzyk:

– Miluś!!!

Tak, nazwali mnie Miluś... Paskudnie, nie? No, proszę was... Miluś dla aspołecznego, chodzącego własnymi drogami kocura?!

Ale to był najmniejszy problem. Oprócz stresującej atmosfery, dotkliwe okazały się córki nowych właścicieli. Tak, te dwa aniołeczki, o których wspomniałem wcześniej. Za tortury, które przyjmowałem z pokorą z ich małych rączek powinienem dostać order, a w najgorszym wypadku rekompensatę pieniężną. Bo takiego bólu, jaki zadały mi te kilkuletnie człekokształtne potwory, jeszcze nie przeżyłam. Szarpanie za ogon, wyciąganie łap i wypychanie na siłę łyżką do paszczy jakiejś paskudnej paszy...

Oto taka przykładowa scena rodzinnej sielanki: jedna ciągnie za futro, druga za wąsy, a rodzice wzdychają ze znudzeniem: zostawcie tego kota i jak gdyby nigdy nic wracają do swoich obowiązków...

Dziwicie się, że nie wytrzymałem?! Kiedy uścisk trochę zelżał, wyrwałem się, nie patrząc na konsekwencje owego manewru... To był akt prawdziwej desperacji... Niekontrolowany. Gdybym chociaż w małym stopniu nad sobą zapanował...

Ale pazurki wysunęły się same, a mała blizna na ręce starszej z sióstr będzie dozgonną przestrogą, co może się stać jeśli zechcesz gnębić zwierzę. Co prawda, przestroga stosunkowo łagodna, ale na pewno zrobiła wrażenie na poszkodowanej...

Smarkuła krzyczała wniebogłosy, a ja kolejny raz wylądowałem na ulicy. I chociaż teraz byłem czysty, a moje futerko lśniło jak nigdy wcześniej, zła sława o czarnym kocie atakującym bezbronne dzieci rozniosła się z prędkością światła.

Nigdy wcześniej nie byłem tak głodny... I nie było możliwości, żeby nawet zajrzeć do śmietnika czy ukraść coś ze stołu, gdyż po mieście buszował hycel. Byłem jednak sprytny, czułem, że ten człowiek poluje na mnie, dlatego, wiedząc gdzie zwykle chodzi w godzinach pracy, omijałam te miejsca szerokim łukiem.

Jednak tego dnia opuściło mnie szczęście. Byłem osłabiony i wychudzony. Tylko jedna kostka... Troszkę mleka... Cokolwiek. Dla kawałka kiełbaski, zabiłbym. A na podwórku pewna gruba kobieta właśnie nakładała swojemu pekińczykowi kawałki gotowanej wołowinki... Rozumiecie mnie? Słyszycie? Wołowinki...

Moje ciało zareagowało automatycznie, praktycznie bez udziału woli. W oczach zapaliły się świece, z pyska poszła ślina, a łapy same prowadziły mnie w stronę miski. Gdybym chociaż rozejrzał się na boki, przechodząc przez jezdnię...

Nagle pisk opon, ogromny ból i ciemność... I to by było na tyle. Wszystko się skończyło... moja historia, moje życie... Umarłem dla kawałka mięsa... A teraz stałem w smudze światła. Może lepiej. Może życie dopiero się zacznie, a przynajmniej skończy się ta szara egzystencja...

Ale ledwo o tym pomyślałam, poczułem ból, tak silny, jak nigdy wcześniej...

– Trochę pogruchotany, ale w końcu to kot. Jeszcze sześć żyć przed nim– usłyszałem tubalny głos.

Następnego dnia obudziłem się i doznałem wstrząsu. Znajdowałem się unieruchomiony w białym pokoju, a obok mnie siedział facet. Bardzo dziwny... Miał długie splecione włosy, jakby ich nigdy nie czesał, skórzaną kurtkę i dżinsowe spodnie. Kiedy zauważył, że się obudziłem, natychmiast wezwał drugiego człowieka – tym razem ubranego na białe... Anioły i demony– pomyślałem, ale już w następnej chwili znowu zasnąłem.

Kiedy otworzyłem oczy po raz kolejny, znajdowałem się zupełnie w innym miejscu. Małe, dosyć jasne mieszkanie, nie czyste, ale też nie brudne. Leżałem na stercie koców w koszyku przy kaloryferze. Całkiem miłe posłanie, jednak dlaczego byłem usztywniony i poowijany bandażami jak jakaś mumia? Spróbowałem się ruszyć, ale był to błąd. Miauknąłem, czując ból przeszywający moje ciało.

W następnej chwili usłyszałem kroki i w drzwiach pojawił się mężczyzna. Poznałem go: czarna postać z potarganymi, długimi włosami...

– I co, Kocie... – mruknął, drapiąc mnie za uszami. – Trzeba było pchać się pod koła?

Zerknąłem na jego twarz. Nikły uśmiech błędził po zadziornej, aczkolwiek młodej twarzy, a ciemne oczy błyszczały wesoło.

– Miałeś więcej szczęścia niż rozumu – dodał, po czym wstał, by przynieść mi miseczkę z jedzeniem i drugą z wodą. Jak obłąkany rzuciłem się na kolację, co mężczyzna skomentował głośnym, chrapliwym śmiechem i wyszedł do drugiego pokoju.

Od tej pory zmieniło się wszystko. Nie miałem dużej rodziny, tylko małe mieszkanie i odludka za opiekuna. Nie miałem ogromnego podwórka, a skromny balkon. Nie mieszkalem w pałacu, ale miałem dom. Wiecie, co było najbardziej zdumiewające? Rzecz jasna, powiem wam. To, że ten człowiek okazał się tak irytująco podobny do mnie... Skryty, wyciszony, podążający własnymi drogami, zakopany w swoich myślach i w tym dziwnym urządzeniu, które zwykł nazywać komputerem.

Kiedy wracał z pracy, siadał ze mną. Ja piłem mleko, on piwo. Ja czyściłem futro, on szedł się kąpać. Ja ganiałem za ogonem, on pisał długie referaty...

– A co myślisz o tym, Kocie? – zapytał pewnego dnia, czytając fragment tekstu, którego słuchacie w tej chwili. Tekstu o mnie. Historię samotnego, bezdomnego kota...

Była to chwila, której nie zapomnę nigdy... Jedyne, czego doświadczałem wówczas, to głęboki szok, że tak bardzo można zrozumieć inne stworzenie. Bo mój pan, choć wyglądał jak yeti, miał w klatce coś więcej niż mięsień sercowy.

– No i widzisz, przyjacielu – mruknął z niezadowoleniem. – Nie potrafię dokończyć tej opowieści. Chwilę przed finałem, zawieszam się i nie jestem w stanie ruszyć z miejsca... No bo... i od tego dnia żyło sobie szczęśliwie w starej kamienicy dwóch kawalerów – pan i jego czarny kocur – to dosyć tandetny epilog, nie sądzisz?

Uśmiechnąłem się pod wąsem... Zdecydowanie byłoby to zbyt słabe zakończenie dla mojej historii. Dlatego postanowiłem wziąć sprawę w swoje łapy. A miałem podwójną motywację, bo kilka balkonów dalej mieszkała ładna ruda kocica ze swoją blondwłosą panią. Tak, one będą idealne. Posprzątają mieszkanie, zadbają o odpowiedni obiadek i o mojego pana, który najwidoczniej teraz potrzebował, aby ktoś podrapał go za uszami...

Na początku mówiłem wam, że od dziecka zastanawiałem się, dlaczego koty chodzą własnymi drogami... Teraz już wiem. Jesteśmy kreatywne. Szukamy nowych rozwiązań i prowokujemy sytuacje, które muszą zakończyć się sukcesem. Bo jeśli ktoś szuka, to prędzej czy później, znajduje.

Ja znalazłem dom, a od dziś miałem nowy plan – zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby ten dom był bardzo, bardzo szczęśliwy. Aby baśń zakończyła się i trwała... W końcu jestem kotem, który ma jeszcze sześć żyć. W końcu jestem czarnym kotem, przynoszącym szczęście. W końcu jestem Kotem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.